



GRODY PIASTOWSKIE.

2

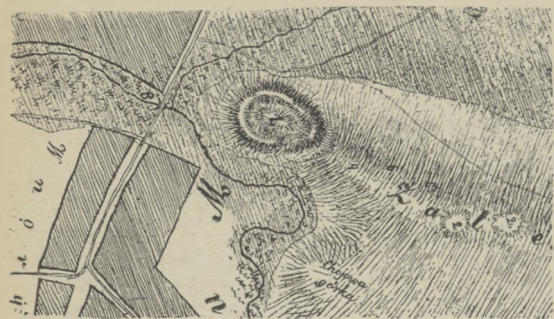


SZCZĄTKI GARNKÓW Z GRODZISKA Pol. ze zbiorów Z. Glogera.
W WIŹNIE NAD NARWIĄ.

Na rolniczem Mazowszu dla osłony od napadów dziczy jaćwieskiej pobudowali Mazowszanie liczne grody, a mianowicie: w Wi-

źnie nad Narwią, pod dzisiejszym Tykocinem (ćwierć mili od rzeki Narwi), pod wsią Grodzkie o trzy mile na południow-schód od Wizny, we wsi Pieńki-Grodzisko (dwie mile na północ od Wizny) i pod Samborami tuż powyżej Wizny, gdzie gródek samborski był strażnicą od łupieżców, przybywających rzekami Narwią lub Biebrzą. Był jeszcze gród mazowiecki w Kumelsku od ściany pruskiej i inny, od Rusi, 6 mil na południe od Tykocina, utrzymywany przez biskupów płockich w drugiej połowie 12-go stulecia we wsi Świątkie.

Kroniki polskie podają moc najtragiczniejszych obrazów, mówiąc o walkach i wypadkach, których widownią były grody piastowskie. Oto np. gdy Bolesław Krzywousty wydzierżawił gród Wiślicki jakiemuś węgrynowi, ten wszedłszy w tajemną zмовę z Jaropełkiem, księciem ruskim, nakazał okolicznym kmieciom i szlachcie, aby schronili się wraz ze swem mieniem do Wiślicy, bo on jakoby został listami gończymi przestrzeżony o łupieskim napadzie książąt z Rusi. Gdy okoliczni mieszkańcy zbiegli się tłumnie do Wiślicy, zgromadziwszy z sobą wszystkie swoje dostatki, dzierżawca ów grodowy zawiadomia o tem tajemnie Jaropełka, który przybywa nagle, łupi wszystko, a broniących się morduje.



PLAN GRODZISKA POD WSIAMI
GRODZKIE I WNORY.

Rys. Z. Gloger.

Grody wogóle budowano z kłoców dębowych. Długosz mówi o starym Kijowie, że ten „szczyił się zamkiem wysokim na górze, z dębów zbudowanym“. Gdy Kazimierz Sprawiedliwy w r. 1191 bawił na Rusi, Mieczysław Stary zajął mu Kraków, a nie mogąc zdobyć Wawelu, zbudował naprędce inny gródek z kłoców drzewa i silnemi izbicami dębowemi umocnił. Prawdopodobnie gródek ten stanął w miejscu, które dotąd przy ulicy Mikołajskiej i plantacyi „gródkiem“ się zowie. Oprócz tego Mieczysław Stary wybudował gród w Bochni. Gallus w kronice swojej notuje, że Zbigniew, brat Krzywoustego, do wystawienia sobie zamku użył budowniczego przybyłego z Galii. O Przemysłu nad Sanem, z okazji zdobycia go przez Bolesława Śmiałego r. 1071 mówią kronikarze, iż był to gród potężnie opatrzony w głębokie przekopy i nader wysokie wały. Z powodu wyprawy tegoż króla r. 1073, mamy wzmianki, że grody: Wołyń (Wolhin) od którego ziemia wołyńska miała wziąć swą nazwę, Włodzimierz i Chełm, zbudowane były z drzewa i tramów na wysokich wzgórzach. Na pograniczu Polski zachodniem, gród Santok obronny samem położeniem miejsca uważany był za wrota od strony Pomorza do Polski. Zbuntowani przeciw Piastom Pomorzanie wybudowali w r. 1099 wprost Santoka inny gród z kłoców dębowych i obwarowali wałami i wądołami, a to w takiej bliskości, że w obu zamkach rozmawiający wzajemnie słyszeć się mogli. Nader wiele obiecywali sobie Pomorzanie, jeżeli opanują Santok, z którego byłoby im snadno czynić najazdy łupieżkie na Polskę. Gdy jednak dowiedzieli się, że idzie na nich młody Bolesław Krzywousty, podpaliwszy swe dzieło, w nocy uciekli. Innym razem, gdy Krzywousty

oblegał Nakło, Pomorzanie i Prusacy, zgromadziwszy się w tłum kilkadziesiąt tysięcy i przybywszy na odsiecz, obrali miejsce obronne i umocnili je przekopami i wałami dokoła, ogradzając wysokimi ostrokoły, które w ogniu opalone, gęsto zabijali w ziemię. Kazimierz Sprawiedliwy, pragnąc w r. 1188 wypędzić Węgrów z Halicza, a osadzić w nim wygnanego przez nich Włodzimierza, wysłał z rycerstwem polskiem Mikołaja, wojewodę krakowskiego, który spędziwszy lud okoliczny, pobudował dokoła gródki i warownie, aby do grodu halickiego nie dopuszczono dowozu żywności, poczem Węgrzy poddali się. W r. 1152 książę Władysław, syn Krzywoustego, pozostający na wygnaniu, wracza do Polski i opanowawszy dwa grody dawniej przez siebie założone: Gródek i Niemczę, kłodami i zasiekami dębowemi umocnia, a dokoła każe robić wały i przekopy. Gdy po śmierci Leszka Białego ubiegali się o spuściznę po nim brat Konrad mazowiecki i Henryk śląski, ten ostatni w celu opanowania ziemi krakowskiej, zbudował naprędce dwa grody: jeden w pobliżu miasteczka Skąły na wzgórzu, koło którego płynie Prądnik, a drugi w Międzyborzu. Gdy znowu gród Nakło, zdobyty przez Pomorzan wydawał się Polakom bardzo trudny do wzięcia, Przemysław zbudował w ciągu kilku dni nową warownię naprzeciwko tego grodu od strony zachodniej, otoczył ją wałami i wądołami, aby Pomorzanom bronić wyjścia i przystępu do starego grodu. W roku następnym Świętopełk pomorski wytyczył wszystkie swe siły na zdobycie nowego Nakła. Naprzód nawiózłszy drzewa suchego, kazał rowy niem zarzucić i w stopy je układać, a potem podpalić, aby ogniem zniszczyć nowy zamek. Ale gdy posłał ludzi do pobliskiego lasu po większą ilość drzewa, żołnierze Przemysława, wybiegłszy szybko z nowego grodu, podpalili owe chrósty nim innych dowieziono i w ten sposób długą pracę Świętopełka ogniem zniszczyli. Żołnierze tedy jego nazajutrz, osłoniwszy się nad sobą sklepieniem z tarcz i przebywszy fosy, podstąpili pod ściany grodu, usiłując wdrzeć się na nie albo podpaścić, gdy inni zaścianiali ich strzałami, wielkimi kuszami, wieżami i procami drewnianemi, które zwano proki, rażąc niemi obrońców. Ale gdy 20-tu wojowników legło, inni zanie-



OKOPY POD WSIAMI WNORY I GRODZKIE (Łomżyńskie).

Rys. z nat. Z. Gloger.

chali dobywania grodu i uciekli ze wstydem na Pomorze.

Grody polskie bywały dwojaki: Jedne większe, tak np. jak pierwotny Santok przeznaczony w razie napadów do zachowania stad bydła należącego do szlachty i kmieci okolicznych. Inne grody, książęce, były mniejsze i miały raczej znaczenie strażnic. Bolesław Pobożny dla zasłonięcia się od najazdu Sasów i Brandenburgów, w miejscu dawnego większego grodu santockiego, zbudował gródek mniejszy, używszy do tej roboty żołnierzy pieszych i konnych, którzy rzemieślnikom pod rękę wszystko podawali, tak iż w przeciągu niespełna jednego miesiąca zupełnie go ukończył. Aliści za odchodzącym Bolesławem przyszedł Konrad Brandenburski, gródek obległ i nasyńska jeszcze świeże kuszami i taranami zrujnował. Dalej przedłuża się ciągle widownia zaciętych bojów pogranicznych pomiędzy Bolesławem Pobożnym a Ottonem margrabią brandenburskim. Były to epizody walki świata germańskiego z polsko-słowiańskim, której dzieje liczą już dziś lat tysiąc. Gdy w r. 1270 Bolesław pojechał odwiedzić szwagra swego Bolesława Wstydlwego do Krakowa, Otto w ciągu lutego, korzystając z lekkiej zimy, zbudował drewniany gród przy kościele św. Jędrzeja w Santoku. Bolesław Pobożny powróciwszy do Wielkopolski, widząc, że Otto nikczemnie pogwał-

cił zawarty z nim sojusz, jął nawzajem pod osłoną swego rycerstwa budować gród Drdzeń, który zaczął na wiosnę w dzień świętego Jerzego, a zebrawszy liczny tłum robotników, wykończył w ciągu dni ośmiu, i w celu odbicia grodu santockiego, ludem zbrojnym osadził. Otto zamierzywszy kasztelanę santocką od Polski oderwać, zbudował śpiesznie pomiędzy Międzyrzeczem wielkopolskim a Lubaszem gród Suliniec z nawiezionych kłoców drzewa. Wtedy Bolesław począł miasteczko swoje Międzyrzecz opasywać wałami i przekopami, budując dokoła strzelnice drewniane, które Polacy zwali „blankami“. Wówczas Otto rzucił się na Międzyrzecz, ale gdy grodu zdobyć nie mógł, miasteczko złupił i rozpoczęte obwarowania Bolesława zniszczył. Rzecz prosta, że Bolesław, nie mogąc doścignąć uciekającego Ottona, obległ zbudowany świeżo przez niego gród Suliniec. Żołnierze polscy pod osłoną sklepienia z tarcz, choć brandenburczycy miotali z góry na nich grad gładów, podstąpili pod ścianę grodu, glinę zwierzchnią siekierami poobijali i obłożwszy smolnem drzewem podpalili, a gdy następnie zdobyli, całą zdobycz w koniach, rynsztunku i żywności między rycerstwo rozdzielona została. Gród Soldyn zdobyli Polacy na brandenburgach, wdarłszy się do niego po „przystawionych drabinach“.

d. c. n.

Zygmunt Gloger.



Nafta i wosk ziemny w Galicyi.

Przemysł naftowy i woskowy wogóle jest bardzo młody, w Galicyi zaś rozwinął się na większą skalę zaledwie kilkadziesiąt lat wstecz.

Od niepamiętnych już wprawdzie czasów, t. j. co najmniej od XIII wieku było rzeczą wiadomą, że u podnóża gór Karpackich, w głębi potężnych lasów tryskają z ziemi tu i owdzie źródła jakieś zaczarowane, których woda, zimna i czarna, kłębi się i burzy, wydzielając woń odurzającą i niesmaczną. Źródła te, w gwarze ludowej „bełkotkami“ zwane, znał dobrze lud góralski. Znał on również czarną lepłą smołę, przesiąkającą ziemię dokoła owych źródeł zaczarowanych i „tłustość ziemną“, pływającą po powierzchni kałuż wodnych lub płytkich sadzawek; wiedział też jak one są przydatne do smarowania osi, garbowania skór i pomocne w różnych cierpieniach.

Coby to jednak być mogło—nie wiadziiano.

Pisarze XVII i XVIII wieku wspominają wielokrotnie o tej czarnej smole ziemnej i tłustej mazi, ale oprócz krótkich wzmianek oraz opisów zastosowania trudno byłoby się z dzieł ówczesnych czegoś więcej o nafcie dowiedzieć. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że pierwsze początki odbudowy górniczej galicyjskiego oleju skalnego datują się z drugiego dziesiątka przeszłego stulecia. Pierwsze ślady ¹⁾ nader wprawdzie prymitywnego przemysłu naftowego spotykamy już wtedy w Węglówce pod Krosnem oraz w Nahujowicach pod Drohobyczem. Między r. 1810—17 Józef Hecker i Jan Mitio zakładają w Drohobyczu przedsiębiorstwo dla odbudowy oleju skalnego oraz usiłują po oczyszczeniu używać go do oświetlania w odpowiednio do tego celu skonstruowanych lampach. Był nawet czas jakiś projekt, aby olejem tym oświetlić ulice Pragi, ale czy to dla niedogodności transportu, czy też wprost dla zbyt wielkich kosztów, z jakimi próby takie były wówczas jeszcze połączone, projekt ten zarzucono wkrótce. Po tych pierwszych nieudanych próbach prawdziwa wartość oleju skalnego znowu pozostała dłuższy czas nieznaną, a używano go jedynie na smary oraz jako środka leczniczego.

Wiadomości nasze o początkach przemysłu woskowego są jeszcze bardziej skąpe ²⁾. Gdzie i kiedy po raz pierwszy odkryto wosk ziemny w Galicyi—nie wiemy. Autorowie opisujący dokładnie źródła oleju skalnego w Nahujowicach pod Drohobyczem już 100 lat wstecz nie wspominają jeszcze nic o

wosku ziemnym. Dopiero w dziele Funkego: *Naturgeschichte und Technologie* z roku 1817 spotykamy wzmiankę o żywicy ziemnej i o wyrobie z niej świec w okolicach Drohobycza. Pusch w swojej *Geologii Polski* w roku 1836 również w krótkich tylko słowach wspomina, że olej skalny pod wpływem oddziaływania powietrza zamienia się w gęstą, wpół stałą masę, t. j. w wosk ziemny. W roku 1840 znany chemik francuski Filip Walter zbadał dokładniej galicyjski wosk ziemny i pierwszy określił bliżej jego skład chemiczny. Natomiast znacznie już wcześniej, bo 30 lat przedtem wosk ziemny znany był władzom administracyjnym Galicyi.

„Dekret izby nadwornej z 1810 roku, pierwszy dokument urzędowy, odnoszący się do górnictwa naftowego w Galicyi, postanawia bowiem, że tak olej skalny jak i żywica nie mają należeć do własności gruntowej, ale że zalicza się je do minerałów zastrzeżonych (regale), że zatem na oba te minerały mogą być udzielane nadania górnicze“—mówi Szajnocha w swoich „*Plodach kopalnych Galicyi*.“ Co do nafty, to na skutek próśb właścicieli gruntów, dekret ten później zniesiono, natomiast wosk ziemny i asfalt zaliczały się w dalszym ciągu do minerałów regale aż do r. 1862, kiedy rozporządzeniem cesarskiem „oleju i wosku ziemnego nie należy uważać jako regale górnicze, o ile na wyrób olejów do oświetlania używane będą.“


Wogóle pierwsze zaczątki galicyjskiego górnictwa ozokerytowego przedstawiają się bardzo niejasno; prawdopodobnie pierwszym fabrykantem świec z ozokerytu był niejaki Jan Mattis, o którego losach mało zresztą wiemy. Tutaj także wspomnieć wypada, że nazwa ozokerytu zamiast wosku ziemnego pojawia się dopiero około 1850 r., wprowadził zaś ją po raz pierwszy mineralog austriacki Glocker.

Od r. 1850, kiedy zwrócono znowu baczniejszą uwagę na olej skalny, olej borysławski, pospolicie ropą, naftą lub kipiączką zwany, znalazł się wkrótce w pracowni apteki lwowskiej Mikolascha, celem dokładniejszego zbadania składu tego tajemniczego dotąd produktu.

Chwała prawdziwego odkrycia nafty galicyjskiej przypada w udziale Ignacemu Łukasiewiczowi, ówczesnemu prowizorowi w aptece Mikolascha, w którego skromnej pracowni zajaśniała pierwsza w kraju lampa naftowa. W spółce z kolegą swoim, Janem Lehem, Łukasiewicz oczyścił olej borysławski przez destylację, a destylat zastosował następnie jako nowy a dogodny środek oświetlający. Oświetlenie światłem naftowym szpitala miejskiego we Lwowie

¹⁾ Szajnocha: *Die Petroleumindustrie Galiziens*. 1905.

²⁾ Dr. Wł. Szajnocha: *Plody kopalne Galicyi*. Cz. I. 1894 r.



w r. 1855 było pierwszym zwycięstwem nowych badań. Wogóle rok 1854 stanowi erę w galicyjskim przemyśle naftowym. W roku tym bowiem została zawiązana spółka między Łukasiewiczem, Tytusem Trzeciekim i Karolem Klobassą, właścicielem Polanki i Bóbrki, miejscowości bogatych w naftę, celem systematycznego poszukiwania oleju skalnego. Założono pierwszą rafinerię nafty w sąsiadującej z Bóbrką Chorkówce, poczęto kopać jeden za drugim szyby, jednym słowem przemysł naftowy począł się budzić. Galicyjska ropa powędrowała do Wiednia, a już w r. 1858—59 firma Schreiner i Stiermann ¹⁾ podejmuje się oświetlenia północnej kolei żelaznej monarchii austr.-węgierskiej za pomocą li tylko nafty drohobyckiej.

Równocześnie wskutek odkrycia amerykańskich źródeł naftowych, które odśloniły niewyczerpane skarby, ukryte w głębinach ziemi, a pierwszym przedsiębiorcom zapewniły znakomite zyski, gorączka naftowa wybuchła z całą siłą i w Europie. W Galicyi rzucono się z zapałem do poszukiwania tego czarnego złota, jak nazywano wówczas naftę, a ulepszenie metod destylacji przez Heindla oraz założenie wspaniałej rafinerii Wagemanna w Wiedniu, dodało jeszcze bodźca tej gorączkowej pracy. Od tej chwili kopalnie nafty poczynają wyrastać w Galicyi jak grzyby po deszczu, okolice Drohobycza, Krosna, Sanoka i Jasła pokrywają się szybami i barakami robotniczymi; grunta szczęśliwych okolic naftodajnych wzrastają niesłychanie w cenie, a ilość procesów, prowadzonych przez przedsiębiorców i właścicieli gruntów, ten nieomylny barometr powodzenia przemysłu naftowego, staje się wprost zatrważającą.

Rok 1855, który okazał się tak płodny w skutkach dla przemysłu naftowego, możemy uważać również za przełomowy dla górnictwa ozokerytowego. Robert Doms, przedsiębiorca lwowski, odkrył bowiem w tym roku znaczniejsze żyły wosku ziemnego w Borysławiu, bardzo płytko pod powierzchnią ziemi biegnące. Od tej chwili rozpoczyna się właściwy rozwój górnictwa woskowego, chociaż z początku w okolicach Drohobycza nie wosk ziemny, lecz olej był głównym przedmiotem odbudowy górnictwa. Dopiero jednak około 1860 r. zastosowanie parafiny na większą skalę w przemyśle chemicznym zwróciło uwagę przedsiębiorców na istotną wartość ozokerytu dla wyrobu parafiny i eksploatacja żył woskowych poczęła wzrastać z każdym rokiem.

Tak przedstawiałyby się zatem w krótkich słowach początki przemysłu naftowego i woskowego

¹⁾ Technologie, F. Fischer. 1893.

w Galicyi. Wprawdzie później, jak to zresztą obszerniej na innym miejscu omówię, drogi obu tych gałęzi przemysłu rozbiegły się, i dziś, kiedy kopalnie naftowe Galicyi zadziwiają świat cały bogatą produkcją, górnictwo ozokerytowe chyli się już ku upadkowi, ale nie mniej przeto podstawy i pierwsze stopnie rozwoju wykazują tak z jednej, jak z drugiej strony nader wiele analogii.

Niewątpliwie, jeżeli przemysł górniczy naftowy rozwinął się tak wspaniale a w krótkim stosunkowo czasie, to zawdzięcza przedewszystkiem bardzo wiele jednostajnemu i gęstemu rozmieszczeniu punktów naftodajnych w całym Podkarpaciu galicyjskim, przez co poszukiwania nafty, przeważnie uwieńczone pomyślnymi skutkami, nie narażały przedsiębiorców na poważniejsze a tak zniechęcające straty.

Cały teren naftowy Galicyi rozciąga się pasem długim 365 km. ¹⁾, poczynając od Nowego Sącza aż do wschodnich kresów t. j. do Kossowa, a przechodzi przez Grybów, Gorlice, Sanok, Stare Miasto, Borysław, Bolechów i Słobodę Rungurską. Pierwsze źródła naftowe zaczynają się pojawiać około Limanowej, ale obfitsze i gęstsze dopiero od Gorlic ku wschodowi. Cały ten teren naftowy, leżący u podnóża Karpat, które go odcinają potężnym łukiem, podzielony jest na kilka mniejszych obszarów wielką ilością rzek większych i mniejszych, biegnących przeważnie na północ lub wschód: Dunajec, Biała, Wisłoka, Jasiołka, San, Dniestr, Stryj, Łomnica, złota i srebrna Bystrzyca, Prut, wreszcie Czeremosz, oddzielający Podkarpacie galicyjskie od Bukowiny, oto główne nazwy rzek, które wodami swymi przerzynają ziemię, słynną na świat cały bogactwem swych źródeł naftowych. Najbardziej zachodnim obszarem naftowym Galicyi jest dorzecze Dunajca z głównymi punktami naftowymi: Męcina, Librantowa i Klęczany pod Nowym Sączem. W obszarze rzeki Białej: Grybów i Stróżna dostarczają nafty w większej nieco ilości. Wogóle bogactwo szybów naftowych poczynają zwiększać dopiero nad Wisłoką: Ropa, Ropica rumska, Biecz, Senkowa, okolice Gorlic z Siarami, Wojtową, Harkłową i Ropianką, dalej Bóbrka ²⁾, znana w historii naszego przemysłu pierwszymi szybami rozkładającymi się u stóp góry Gradarki, wreszcie Wietrzno, Równie i Rogi nie wyczerpują jeszcze wszystkich punktów naftowych tych okolic.

c. d. n.

Dr. Ludomira Biegańska.

¹⁾ Szajnocha I. c.

²⁾ D. Windakiewicz: O oleju skalnym i wosku ziemnym w Galicyi Lwów 1875 r.



Z nad Atlantyku pod Alpy

śladem ludzkiej pracy dziejowej.

3

W głębi zatoki Quiberon, nieopodal miejsca, gdzie ten półwysep przylega do lądu, o kilometr od brzegu leży miasteczko Carnac, ludne jak Quiberon i jak ono posiadające plażę, port (Port-en-Dro), lecz przyćmiewające wszystkie, nie tylko w Morbihanie, lecz i w całej Francji i Bretanii sławą archeologiczną, zdobytą zabytkami megalitycznymi.

Najwięcej na całej kuli ziemskiej posiada tych zabytków Europa. W Europie—Francja. We Francji—Bretania. W Bretanii—Morbihan, w Morbihanie—Carnac i jego najbliższe okolice, do których należy i Quiberon. Niedosć, że tu spotykamy okazy wszelkich typów zabytków megalitycznych, ale te okazy są w większej niż gdzieindziej ilości nagromadzone na jednym miejscu, a zarazem—najlepiej przechowane. Znajdujemy się tu w istotnym Muzeum, tem wspanialszem, że rzeczywistem, naturalnem, jak go utworzyły dzieje. W nich zaś—praca ludzka.

III.

Od czasu, kiedy człowiek pierwotny niespodziewanem a nagłem zjawieniem się wśród wytwornego, lecz o pochodzeniu swoim niepomego społeczeństwa XIX-go stulecia, jedne umysły przeraził, inne zaciekał i sam stał się przedmiotem stałych badań, powstały liczne kwestye, tyżące się już do czasu oraz warunków zewnętrznych jego istnienia, już to jego uzdolnienia i charakteru, wyglądu i sposobu życia. Rozwiązanie pierwszych zależnem zostało od geologii, rozwiązanie drugich — od etnografii. W obu atoli wypadkach punktem wyjścia wszelakich dociekań pozostały zabytki po nim, dzieła rąk jego. Te zabytki są z jednego materiału: kamienia.

Tożsamość atoli materiału nie stanowi o tożsamości zabytków samych. Jedne z nich wielością nie przechodzą palca u ręki, naprzykład: groty do strzała; drugie—dochodzą do współczesnych nam gmachów. Różność w rozmiarach tych zabytków odpowiada różnicy zachodzącej w samym człowieku, który je wykonywał.

Nie mam tu wszakże na myśli wyłącznie tylko udoskonalenia technicznego, aczkolwiek ono było rzeczą nader ważną i poniekąd zasadniczą. Istotę bowiem rzeczy stanowiącą różnica polegała jeszcze na czemś innym; a mianowicie, leży ona w celach, jakie, wznosząc te zabytki, mieli ludzie pierwotni, i to zupełnie niezależnie od tego, co

za cel tutaj uznać zechcemy, i czy istotnie już dzisiaj odgadliśmy je ostatecznie.

Człowiek pierwotny, obrabiając otyczek kamienno, natychmiastową widział w pracy swej korzyść. Obrona od czyhającego nieprzyjaciela, powalenie wroga przy spotkaniu, zdobycie pożywienia i odzieży, stanowiły natychmiastowe owoce pracy i sownie wynagradzały za trud poniesiony.

Człowiek pierwotny, wznosząc pomniki megalityczne, tej natychmiastowej korzyści, jako bodźca zachęcającego do pracy, już nie miał przed oczyma. Niedosć, że on był technicznie do robot tego rodzaju przygotowany i uzdolniony praktycznie. Niedosć, że już żył w społeczeństwie, które zdołało wolę tysiąca i ręce tysiąca swych członków skierować do jednego przedsięwzięcia. Ten człowiek pojmował już, co to jest przyszłość.

Na dzień następny gromadzone pożywienie, stopniowo rozwijając w człowieku pierwotnym pojęcie o czasie, który nas jutro oczekuje, nakoniec usposobiło go do uwierzenia w ten czas, do oczekiwania go, do zajęcia się nim, a nawet—do rozmyślenia się w nim. Odrywał więc, pracując nad megalitami, część kapitału, leżącego w pracy, od zajęć bieżących i składał ją w przyszłości. Zabytki megalityczne są więc pomnikami człowieka pierwotnego, który się już był uzdolnił do pracy dla przyszłości. Lecz i w tym, jak i w każdym innym wypadku, mistrzynią jego była przyroda. Naśladowując przyrodę, począł człowiek, jak ona, wznosić gmachy, więc sam budować.

Morbihan, a w nim Carnac i Quiberon stanowią Muzeum, jedyne na świecie, pierwszych i zasadniczych prób budownictwa pierwotnego. Przenieśmy się tam myślą, popatrzmy na wizerunki tych budowli. Ułatwią nam one działanie wyobraźni naszej na tem polu.

Przedewszystkiem uderza w nich ich zewnętrzny wygląd, zagadkowy, do czasu poznamienia się z niemi w tem Muzeum niewidziany, niespotykany.

IV.

Przyszłość przed tymi budowniczymi, a jak ślady ich pracy wykazują, pierwotnymi, przedstawiała się dwojaka: bliższa i dalsza. Bliższa, z ich własną, bezpośrednią korzyścią połączona, była utylitarna.

Znane im były oddawna, w wielkiej nawet ilości, na brzegach skalistych Oceanu, groty i jaski-

nie. Do nich uciekać można było przed wrogiem napastującym, chronić się w nich przed burzą gromającą, ogrzewać się w chłodzie, ochładzać w spieście. A nadto, ukrywać narzędzia, oraz wszystko to, co posiadało jakąkolwiek wartość, przechowywać zapasy pożywienia i odzieży. Ale cóż, dwa razy na dobę te grot i jaskinie stawały się niedostępnymi i bezużytecznymi. Podnoszące się fale Oceanu dostępu do nich broniły. Wdzierając się w ich wnętrza, wypierały z nich. Ci więc, nasładowując widziane, sami poczęli tworzyć sztuczne.

Dość było w tym celu ustawić obok siebie, a jeszcze bezpieczniej i trwalej wkopać, kilka podłużnych głazów i takąż ilość naprzeciw, a pokryć je wszystkie innymi. Otóż i sztuczna grot. Kilkanaście takich brył kamiennych, stawianych w podłużnym kierunku naprzeciw siebie i pokrytych odpowiednią ilością, stanowiły już jaskinię, też sztuczną. Otóż Bretania, a zwłaszcza Morbihan jest pokryty takimi sztucznymi grotami i jaskiniami. Stanowią one część znaczną Megalitów, to jest — zabytków megalitycznych.¹⁾ W okolicy Carnacu liczą ich, samych tylko znaczniejszych, do pięćdziesięciu.

Takim to sztucznym grotom i jaskiniom nadali Celtowie, bezpośredni mieszkańcy w czasach przeddziejowych tych krajów, nazwę dolmen. Wyras dol w ich języku oznacza stół; men — kamień. Były to więc, jak sądzić z tej nazwy należy, dla nich tylko stoły kamienne. Czy oni mogli być zarazem i budowniczymi tych zabytków? Na to odpowiedź kryje się dla mnie w samej nazwie tych zabytków, przez nich im nadanej.

Nazwa ta nie wykazuje ani celu budowy ani sposobu jej wznoszenia. Określa jedynie otrzymywane z wyglądu zewnętrznego wrażenie przygodne. Dowodzić przeto tylko może, że owi Celtowie, jakkolwiek jako mieszkańcy tych krajów sięgali jeszcze czasów przeddziejowych, tych zabytków sami nie wznosili. Jeżeli tak, to już je

¹⁾ Nazwa ta pochodzi z greckiego i oznacza zabytki wielkokamienne, dla odróżnienia od drobnych, małokamiennych narzędzi ludów pierwotnych, na przykład: siekierek, skrobaczek, grot do strzał i tyle innych tego rodzaju.

zastali na tej ziemi, którą zdobywali lub zajmowali.

Co więcej, w nazwie Stołów kamiennych, nadanej tym budowlom przez znanych nam jedynie najdawniejszych mieszkańców tych krajów, Celtów, widzę przypuszczenie tych Celtów, ich domysł, że budowniczości tych zabytków byli tak wysokiego wzrostu, że za stoły je używać mogli. Z tej nazwy wnosić możemy, że nie tylko Celtowie sami tych budowli nie wznosili, ale nawet nie znali tych, którzy je wznosili, ani się nie domyślali, jacy to ludzie je wznosić mogli, skoro za olbrzymów ich poczytywali.

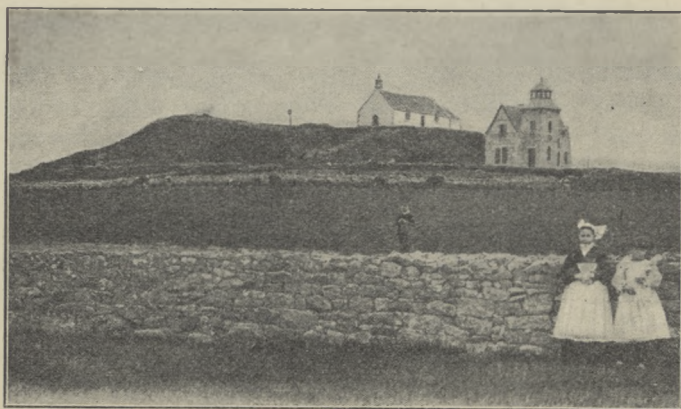
Że zaś te budowle są pierwotne, dowodzi tego postać pojedynczych brył kamiennych, użytych do ich wznoszenia. Żadna z nich nie nosi śladu jakiegokolwiek celowego obrobienia, lub zastosowania do drugiej, spojenia z drugą. Każda pozostaje taka, jaką ją przypadek, czy natura, wytworzyła. Człowiek do nadania jej kształtu zewnętrznego wcale się nie przyczyniał. Również, że te budowle pochodzą z czasów przeddziejowych, wskazuje brak na nich zupełny jakiegokolwiek znaków, któreby mogły uchodzić za pismo obrazowe lub zgłoskowe.

W Morbihanie, tem Muzeum naturalnym, znajdujemy dolmeny bądź zupełnie, bądź też częściowo tylko odkryte (rys. 2, 3) i, nakoniec, zupełnie zakryte. Zakrywanie, a raczej pokrywanie dolmenów w dwójaki się odbywało sposób: obsypywano je piaskiem i ziemią, lub okładano drobniejszymi, niż bryły je tworzące, kamieniami. W pierwszym przypadku nazywano je tumuli, z łacińskiego tumulus, wzgórze; w drugim—galgal¹⁾.

Pod Carnac'iem taki tumulus nosi nazwę Mont-Saint-Michel (rys. 1). Na nim wznosi się niewielki, dziś zupełnie opuszczony, kościółek.

Nazwę dolmeny, nadaną przez Celtów starożytnych grotom i jaskiniom w Bretanii, uczeni europejscy przenieśli na wszystkie tego rodzaju zabytki megalityczne, znajdujące zewnątrz Francji, po innych krajach i częściach świata.

Rys. 1.



TUMULUS ST. MICHEL.

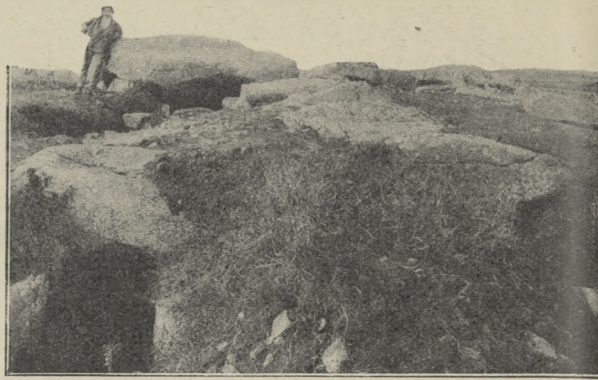
¹⁾ Jest to wyraz hebrajski. Dociekanie wędrowki jego z kart żydowskiej Księgi Świętej na pomniki megalityczne przekroczyłyby znacznie granice mojej pracy obecnej.

Rys. 2.



DOLMEN OTWARTY.

Rys. 3.



DOLMEN WPÓŁZAKRYTY.

Za czasów celtyckich dolmeny stały się grobowcami; a może też na wzór ich budowano nowe, już na ten cel wyłącznie przeznaczone. Z dolmenów, jako prototypu budownictwa starożytnego powstały w dalszym rozwoju sztuki świątynie, np. egipskie, pałace królewskie, assyryjskie, babilońskie, więc mieszkania bogów i władców kraju, i dalej, w mniejszych rozmiarach: bramy i łuki tryumfalne; z tumulusów, a właściwiej galgali—piramidy, np. egipskie. Pośrednie wzory — zaginęły. Pozostały, jak widzimy, dwa krańcowe ogniwa w rozwoju budownictwa.

V.

Dolmeny atoli, jak to już wspomniałem, stanowią, choć znaczną, lecz część tylko wszystkich zabytków megalitycznych na kuli ziemskiej wogóle, a we Francji, a zwłaszcza w Bretanii w szczególności. Inne, znaczna większość ich, bardziej proste w swej konstrukcji, są to już monolity (jednokamienie) celowo ustawiane.

Przyszłość dalszą, dla której pracowali owi pierwotni budowniczości dolmenów, mogę nie nazywać już użyteczną, lecz dziejową. Przedstawiała się ona im w nieokreślonym, jakby instynktownym jakimś bardziej przecuciu, niż w ujętym myślnym pojęciu. Owóż to przecucie by-

ło dość silne, wyraźne, nakazujące, skoro pod jego wpływem nie wahali się łożyć znacznej pracy dla owej przeczuwanej przyszłości. Szło im bowiem o upamiętnianie już faktów, których doniosłość raczej czuli, niż rozumieci, odgadywali, niż pojmo-

wali.

By przekazać pamięci dany fakt, wkopywali w ziemię pionowo głaz kamienny kształtów podłużnych (rys. 4). Część jego wystawała nad poziomem gruntu i będąc widzianą, o zaszłym zdarzeniu świadczyć miała potomnym, owo zdarzenie patrzącym stale przypominać...

Pojedyńczy i częstokroć zupełnie samotnie w bezludnej okolicy sterczący głaz taki ciż Celtowie nazywali menhir'em. Wyraz men w ich języku oznacza też kamień; hir—wysoki. Że dla nich ten kamień niczego więcej niż wrażenie otrzymane z wyglądu nie przedstawiał, dowodzi to, jak i nazwa sztucznych jaskiń, że to nie oni je wznosili.

Z takich menhirów w dalszym rozwoju sztuki budowniczej i ozdobnictwa powstały obeliski, słupy kamienne, posągi i inne pomniki.

Wszelako rozwój umysłowy i techniczny pozwolił z czasem ludziom utrwalać za pomocą obrazów swoje pojęcia, za pomocą umówionych znaków—dźwięki swej mowy.

d. c. n.

Ig. Radliński.

Rys. 4.



MENHIR POJEDYŃCZY.





BRAMA W BYTOMIU PRZY ULICY PIEKARSKIEJ.

Rys. L. Chojnowski, ze zbiorów Z. Glogera.

Sven Hedin w Tybecie.

19)

Ale jeśli coraz mniej jest osad ludzkich i pól uprawnych, któreby ich obecność zdradzały, nie znaczy to bynajmniej, żeby droga była odludna. Przeciwnie, nieustającym sznurem ciągnące karawany, rycerze, rolnicy, żebracy, którzy zresztą w miarę możliwości bywają zbójami, pozwalają z łatwością odgadnąć, że jest to jedna z najżywszych arterii komunikacyjnych, które osiadłych mieszkańców nizin łączą z nomadami wyżyn środkowych.

To też droga, jak żadna inna z napotykanych dotychczas w Tybecie, utrzymana jest niemal wzorowo. Przez wszystkie dopływy, które jesienią i wiosną mogłyby przerwać komunikację, rzucone są stałe mosty, ślady zaś lawin spadających na drogę usuwane są z niej natychmiast. Że jednak sztuka inżynierska nie stoi w Tybecie wysoko, usiłowania te nie są w stanie uczynić drogi ani bardzo wygodną, ani w wystarczającej mierze bezpieczną.

Niekiedy dolina zwęża się gwałtownie, stając się jakimś korytarzem kamiennym, całe dno którego wypełnia szumiący potok. Na 40-metrowej wysokości nad wodą ciągnie się wzdłuż pionowo spadających ścian skalnych wążki gzyms, umocniony nieco gałęziami i kamieniami, ale niemniej przeto wążki, że ledwie jest gdzie na nim nogę postawić. Nawet idąc bez ładunku trzeba się mocno przyciskać do ściany, bacząc żeby nawet język w

ustach leżał na stronie właściwej, nie naruszając równowagi. Niepojęte jest poprostu, jak tamtędy mogą przejść konie i muły; to tylko pewna, że po przejściu tego piekielnego przesmyku ściśnięta pierś oddycha z głęboką ulgą. W innych miejscach trzeba się znowu przedzierać przez zwały skał i gruzów, które się tylko co obwałyły i których jeszcze nie zdążono uprzętać, albo, co gorsza, przechodzić pod ogromnymi blokami, które zdają się wisieć na włosku i które lada żywsze słowo lub gest grozi w dół rzucić.

Jedynym człowiekiem, na którego to nie robi żadnego wrażenia, jest stary, pół-głupi przewodnik miejscowy, któremu ani na chwilę nie zamyka się gęba i który, gdy go żywiej ochota naciśnie, zaczyna ni stąd ni zowąd tańczyć na środku drogi. Zresztą grzeczne i pokorne stworzenie, które co jakiś czas obraca się ku Hedinowi, wyciągając na znak życzliwości i uszanowania czerwony jak płomień język, jak można najdalej.

I tak z trudem i z możliwością strzaskania łba na pierwszej lepszej zdradliwej ścieżynie idzie się wśród najcudowniejszej w świecie panoramy w górę, zdala od ludzi i zdala od wiosny. Tam, na dole już pękają zapewne paki drzew, ale tu coraz mroźniej wicher wyje w zaułkach dolin, a temperatura spada nocą do -17° .



Chwilę wythnienia daje wspaniale, bajecznie wprost rozrzucony po skałach klasztor w Ling-gum-pa, który się wznosi amfiteatralnie na stromym występie skał. U stóp jego leży nędzna wioszczyzna, której niemożliwie brudni mieszkańcy tłumnie wylegają na spotkanie karawany; nędza tu zresztą i pustka straszliwe, nawet drzew, oprócz dwóch jedynych jedynych przy samym klasztorze, niema nigdzie dokoła. W klasztorze, który się składa z 40 białych domków mieszka około 30 mnichów, którzy należą do jakiejś innej niż w Taszy-lumpo sekty, gdyż nie uznają jego zwierzchnictwa. Niektóre domki są puste, ponieważ po śmierci mnicha ruchomy jego majątek przechodzi wprawdzie na własność klasztoru, dom natomiast pozostaje w ręku rodziny, która go jakiemuś z przyszłych kandydatów na mnicha ustępuje za cenę dochodzącą niekiedy 100 rupii. O czasie założenia klasztoru, jak wszędzie zresztą w Tybecie, trudno choćby w przybliżeniu się czegoś dowiedzieć. Zwykle w takich wypadkach ktoś rzuca na chybił trafił odpowiedź, że klasztor istnieje tysiąc lub dwa tysiące lat, potem inny, bardziej ostrożny, poprawia go, ustalając czas istnienia z pewnością na pięćset.

Najwyżej położonym miejscem w klasztorze jest „dopcza” rodzaj platformy wyłożonej płytami z kamienia, która służy do uroczystości religijnych. Pośrodku, jak zwykle, tkwi maszt z wielką chorągwią, brak jest natomiast jakiegokolwiek ogrodzenia, wobec czego chodzenie na „dopcze” w nocy nie jest bardzo bezpieczne. Dołem zieją niezgłębione niemal okiem przepaście, a na czarnych ich ścianach bieli się inkrustowany z kawałków kwarcytu święty napis „Om mani padme hum” (O! klejnocie w lotosie. Amen).

Tuż obok „dopczy”, lecz nieco poniżej, leży „dokang”, główna sala świątyni, jak wszędzie prawie, ciemnej i tajemniczej. Pośrodku stoją posągi bóstw, a że światło pada na nie z góry przez okienka umieszczone w dachu, zdają się jakby wznosić się i ulatywać ku górze. Po bokach, jak cienie czy widma, snują się ciemne postacie mnichów; w głębi rozsiadł się na ziemi cały ich chór, odśpiewujący jakieś nabożne recitatiwy. Śpiewają mechanicznie, tyle tylko że mocno trzymają się taktu—brzmi to tak, jak gdyby się słuchało dudnienia kopyt tęgim klusem idącego po drewnianym moście konia; czasem tylko klasną wszyscy rękoma, głosy podniosą się—już nie po moście, ale po bruku biją kopyta, aż po chwili znów do pierwszego tonu powrócą.

Jeszcze jedna świątynka na najbardziej wgłąb wysuniętym ustępie skał. Z trzech stron budowli ciągną się galerie bez poręczy wprost nad przepaścią, jeszcze głębszą, jeszcze straszniejszą tu, niż gdzieindziej. Potem, jakgdyby jeszcze wysokość była zbyt mała, po ciemnych doszczętnie

schodach wchodzi się dwa piętra wyżej. Nikte, chwijące się światełko lampki walczy napróżno z ciemnością, oświetlając kilka najbliższych posągów, w głębi widać małe okienko, rozświetlające najbliższą przestrzeń. To jest właściwa sala bogów. Stoi ich tutaj w kształcie metalowych posążków całe mnóstwo; niektóre z nich są bardzo stare, z dużym artystycznym zacięciem i zapewne niemałej wartości. Przed bóstwami stoją czarki pełne wody źródlanej i jedzenia. Na poważnie uczynione zapytania, na jak długo to jedzenie bogom wystarczy, bladło uśmiechający się mnich odpowiada, że czary muszą być zawsze pełne. Ale kiedy się wchodzi do takiej sali, widać zawsze kilka uciekających, jak cienie, myszy—nic dziwnego, że czary nazajutrz będą wypróżnione.

Tymczasem mnich zawezwany na dół oddalił się, zostawiając Hedina samego. I mimowoli ta pełna tajemniczego półmroku atmosfera zawieszona jak orle gniazdo nad przepaściami świątynki zaczęła hipnotyzować sceptycznie uśmiechniętego podróżnika. W pewnym momencie, kiedy z natężeniem wpatrywał się w uśmiechnięte oblicza bóstw, zdało mu się nagle, że kilka z nich jakby się obróciło twarzą ku niemu, wpatrując się w obcego śmiałka, który im tu przyszedł ciszę zakłócać, sztywnie nieruchomemi oczyma. Potem, jakby z wolna i obojętnie twarze się znów odwróciły. To nic, tylko cień zasłaniającej okno chorągwi, która się trzepocze od wiatru, ale poruszony do głębi podróżnik przyznać musiał, że w tej sali pełnej straszliwie wyszczerzonych masek, wśród dzikich poświstów wichru, tłukącego się o ściany przepaści zostać na noc samemu, byłoby mu nieco niemiło.

A jednak na drugi dzień miał doświadczyć wrażenia, daleko bardziej jeszcze przygniatającego, jednego z najsilniejszych wrażeń, jakich doznał w tej zakłętej górskiej krainie. Jeszcze w Taszy-lunpo słyszał niejednokrotnie o pustelnikach, którzy na pewien okres czasu zamykają się w odludnych pustelniach, zrywając wszelkie stosunki ze światem, szukając doskonałości czy poddając się próbie. Po kilku miesiącach czy po kilku latach pustelnicy tacy wracają do ludzi, osiągając oczywiście wielkie uznanie za życia i wielkie nagrody pośmiertne. Ale dopiero tu w Lingo nadarzyła się sposobność zetknąć się z takim eremita nieco bliżej i to z takim, co się nie czasowo, ale dożywno tnie zamknął w swojej pustelni.

O kilka mil wgłąb gór od klasztoru, leżał mały przez czterech mnichów osiadły klasztor *Sa m d e - p u k*, filia gniazda głównego. A tuż za nim u stóp góry znajdowała się pustelnia. Była to mała, z dużych głazów kamiennych zbudowana chatka, z wnętrza której wypływało małe źródelko. Drzwi, szczelnie i na głucho zabite, zasłonięte by-

ły prócz tego wysoką ścianą kamienną, uniemożliwiającą wszelki dostęp promieni słonecznych. Okien nie było wcale. W takiej chatce, kilka kroków obwodu mającej, bez światła, bez powietrza, bez ognia siedział już od trzech lat święty pustelnik. Kim był, jak się nazywał, nikt nie wiedział, i gdyby nawet zresztą wiedzianno, nie godziło się wymawiać imienia tego, którego jedyną nazwą było: lama rinpocze (lama—ten, który niema nikogo nad sobą; rinpocze — klejnot, świętość). Co dzień przez wązki otwór w ścianie braciszek zakonny przynosił mu garstkę pożywienia i czarkę wody; co siedem dni — nieco herbaty, masła i wiązkę chrustu, na którym pustelnik mógł zagrzzać wodę. Otwór był tak urządzony, że wszelkie porozumienie się było wyłączone; wreszcie ten, ktoby przerwał pustelnikowi kontemplację, naraziłby się na wieczne potępienie. Tylko, jeśli który z mnichów był chory, wsuwano z jedzeniem karteczkę, na której było imię chorego z prośbą, aby pustelnik się modlił

za niego. Jeżeli w ciągu dni sześciu jedzenie zostanie nietknięte, odbiją drzwi—znak to, że święte życie zagasło. I tak w tych krew w żyłach ścinających warunkach żyją ci ludzie, żywcem porzebani, do śmierci. Czasem trwa to kilka lat,

czasem kilkadziesiąt. Poprzednik obecnego eremity wszedł do pieczary młodym chłopcem, wyszedł z niej po 40 latach; gdzieindziej żył, jeśli to życiem można nazywać, pustelnik w swym grobie 69 lat! Przed samą śmiercią zapragnął raz jeszcze widzieć słońce. Rozwalono mur—pokuta jest dobrowolna i pustelnik mógłby wyjść każdej chwili—i znaleziono coś skurczonego jak małe dziecko, z wyschniętą jak pergamin skórą, z białymi, w strąkach opadającymi włosami, w szczątkach łachmanów, które niegdyś były odzieniem. Oczy miał zagaste i martwe, a kiedy go objęły ciepłe promienie słoneczne, westchnął i zmarł.

Ale zwykle czeka taki męczennik cierpliwie końca, bez względu na to, czy on przyjdzie dziś czy po przejściu paru pokoleń na świecie. Przed posążkami bóstw świeci małą lampeczkę, przy której może czytać święte księgi, o ile mu masła i oczów nie zbraknie; kiedy wilgoć splywa po ścianach strugami, domyśla się, że zima nadeszła; kiedy czuje kres nadchodzący, siada w czekającym na to kojczyku—jaki się u nas daje dzieciom uczącym się chodzić—żeby umrzeć w prawowiernej pozycji Buddy.

Aż go śmierć—oswobodzicielka wyzwoli.

(c. d. n.)

St. Th.



PIĘKNOŚĆ TYBETAŃSKA.

GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

XVII.

Staralem się w ostatniej gawędzie przekonać tych, którzy chcą być przekonani, że jedynym, najwyższym celem wycieczki powinna być sama wycieczka. O ile oczywiście jeździ się czy chodzi na wycieczkę nie na to, aby się powalać, wygrzać na słońcu i użyć większej nawet, niżli

w domu wygody, — są i takie kategorie podróżników—jeno na to, żeby zmanierowanemu w codziennym kieracie umysłowi dać nowy odżywczy pokarm w postaci szeregu spostrzeżeń, porównań i dociekań, żeby rozprostować duszę, skurczoną drobnostkowem szamotaniem o rzeczy najczęściej małe. Nie przeczę bowiem, że są i inne, o innych celach wycieczki, np. handlarza, który jedzie skupować gęsi, albo wycieczka świetnego kawale-



ra, który szuka stosownej dla siebie oprawy, ale wszak nie o tych mówimy.

A skoro taki punkt wyjścia przyjmimy, skoro zgodzimy się, że chcąc naszą wycieczkę uczynić jak najbardziej owocną, trzeba wszystko inne uważać za środek, który głównemu celowi być musi podporządkowany, łącniej będzie się porozumieć. I nie ograniczymy się wtedy na uznaniu, że w pierwszym rzędzie siły nasze i środki fizyczne winny być przygotowane i wyćwiczone tak, żeby nam conajmniej nie były zawadą. Pójdziemy dalej, zaczniemy w sobie samych i we wszystkim, co od nas zależy, doszukiwać się czynników, które mogą wpłynąć na powodzenie wycieczki, które mogą podnieść jej wydajność, czyniąc z niej prawdziwą „wyprawę“ lub wręcz przeciwnie mogą ją obniżyć, sprowadzając wycieczkę do rzędu zwykłych „przechadzek“.

I w tem poszukiwaniu, w tem rozróżnieniu wpływów szkodliwych od wpływów pożytecznych, raz przyjąwszy taką zasadę przewodnią, nie napotkamy chyba poważniejszych trudności.

Zaczawszy bodajby od rzeczy najprostszych, ale też takich, z którymi oko i przyzwyczajenie długiego lat szeregu najbardziej się opatrzyło — od ubrania chociażby. U nas do dziś dnia jeszcze znaczna część wycieczkowiczów wybiera się na wycieczkę — jak na wizytę. Tyle tylko, że ponieważ tę wizytę składa się naturze, która się nie zna na konwenansach, traktuje się ją jak przyjaciela bardzo zaufanego, albo znajomość niecomniej wartościową i kładzie się stare ubranie. Od włożenia specjalnego kostiumu odwodzi ludzi jakaś wstydlivość, jakaś obawa śmieszności, bo jakżeby poważny ojciec rodziny wyglądał w pończochach na nogach. Ale jeśli sz. pan sobie wyobraża, że go brak tych pończoch, albo twardy kołnierzyk na szyi, albo kapelusz, który cięży na głowie i który wiatr ciągle zrzuca, nie opóźnia w drodze i nie hamuje, jak klocek przywiązany do nogi, to się pan grubo myli. Kwestya wygodnego ubrania nie jest kwestyą fantazyi lub śmiesznego wyglądu, tylko istotnem opóźnieniem w podróży i nieuchronnem co gorsza w niej zdenerwowaniem. Nie kładę na tę rzecz nacisku, bo jest ona tak prosta, że tylko przez małe wogóle rozpowszechnienie się wycieczek, przez brak doświadczeń osobistych, tłomaczyć można fakt niedość przezornie obmyślonego stroju u pewnej części naszych turystów.

Bardzo blisko sprawy ubrania stoi sprawa pakunku, który powinien koniecznie zawierać to wszystko, co jest niezbędnie potrzebne, ale który pod żadnym pozorem nie powinien zawierać ani jednego łuta ponadto. Nie wchodząc w szczegóły i nie układając szczegółowej listy przedmiotów, które za niezbędne należy uważać, można tylko mimochodem zauważyć, że kiedy się już

cały rynsztunek podróży wybierze i na bok odłoży, warto go jeszcze choćby dwa i trzy razy przejrzeć dokładnie, zapytując się spokojnie lecz stanowczo w swoim podróżniczem sumieniu — czy naprawdę nie mógłbym się obejść bez tego lub owego. A że pakunków nigdy nie należy nosić w ręku, tylko w worku podróży na plecach, w tak zwanym mile brzmiącym ruzaku, o tem wie każdy, kto raz chociażby spróbował pięćofuntową paczkę przenieść 4—5 mil po upale.

Ale to są wszystko sprawy drugorzędne istotnie. Sprawy tak łatwe do samodzielnego rozstrzygnięcia w dodatnim sensie, że po kilku wycieczkach najbardziej nawet zacořany turysta wpadnie napewno na szereg pomysłów, które go od zżajania się, niepotrzebnego zmęczenia i kłęcia w pień swojej nieprzezorności doprowadzą. Gorzej jest ze stroną wycieczek, że tak sobie pozwolę powiedzieć — duchową, z wytrenowaniem nie nóg, tylko duszy, żeby w drodze nie zawadzała.

Każdy, ktokolwiek chodził na większe nasze wycieczki zbiorowe, wie, jakie się tam nieraz dzieją herezye. Sam już wygląd takiej wędrowki narodów... niesfornych może doprowadzić do rozpacz, jeżeli nie do pasy, zwanej nie wiem dla czego „szewcką“. Jedni idą po drodze, inni po życie lub kartoflach, jedni, próbując nóg, wyrwają się naprzód, inni przysiadają co chwila; kiedy nadchodzi chwila objaśnień, połowa karawany rozłazi się na boki, kiedy trzeba dalej wyruszać — wraca i zanudza przewodnika pytaniami o to, co przed chwilą było opowiedziane. Znaczna ilość rąk pracuje niezmordowanie nad tem, żeby złamać, zerwać, zniszczyć wszystko, co jest do złamania i zerwania. Robi się to często z pełną naiwności prostotą, kiedyindziej znów z godnością, która się gotowa o lada uwagę urazić. Tu leciwa o wykwintnych manierach dama drecze z godną podziwu wytrzymałością po zagonach kartofli, a na uczynioną sobie skromnie uwagę, że to są jednak... kartofle, odpowiada z pewnem oburzeniem: „ależ wiem, panie!“ — byłoby albowiem zaiste obrazą posądzać damę w tym wieku, że nie wie, jak wyglądają kartofle. Tam młode dziewczę o błyszczących oczach i ruchliwych nozdrzach zrywa całe gałęzie kwitnących wiśni, które tak wdzięcznie pasują do falującego rozkosznie staniaka i miękkim a niskim półgłosem, od którego człowiekowi robi się ciepło w oczach, wyjaśnia, że „na wycieczkę nie idzie się na to, żeby sobie wszystkiego odmawiać“. Ach, klejnocie rozkoszy, gdybyśmy sobie wszystkiego przestali odmawiać, wycieczka przestałaby być wycieczką, choć nabrałaby tonów może szczególnie różowych.

I tak usque ad finem czyli aż do końcowego punktu wyprawy. Bo u nas w Polsce — jak kto chce — przynajmniej na wycieczce.



Co gorsza, a przynajmniej co dziwniejsza, nawet wycieczki odbywane w ściślejszych, lepiej pod względem temperamentu i przygotowania dobranych kółkach rzadko kiedy u nas obywają się bez nieporozumień i rozdzwięków, doprowadzających do tego, że jedni idą na prawo, zostawiając reszcie drogę na lewo. Najczęściej przyczyną tego są nerwy, te same przekłete, rozklekotane nerwy, które u nas na całe życie nietylko prywatne, ale nawet publicznie rzucają takie złowrogie światło, wnosząc w umęczone i bez tego dusze nowe, dotkliwe rozterki i zamęt. Nerwy, które jednoogłosem zdaniem wszystkich znających świat obcy tak nas nieszczęsnych Polaków odróżniają na pierwszy już zaraz rzut oka od wesołych, niefrasobliwych Francuzów, mocnych i pewnych siebie Anglików, spokojnych i zadowolonych z losu Niemców. Nerwy, które wrzaskliwie i ordynarnie podkreślają przykrość, plugawą radość i podgryzają ukojenie, wypoczynek i spokój, które nas ścigają nawet tam, gdzie idziemy przeciw nim szukać lekarstwa.

Nie jest rzeczą drobnych, ulotnych, na marginesie kreślonych uwag rozpamiętywać, jaką drogą u nas w Polsce przed tą zmorą należy uciekać. To jest jedna ze spraw miary najbardziej doniosłej i tego tak od ręki, od niechcienia zbywać nie wolno, tak jak niewolno bagatelizować wyżej wspomnianych niesforności, nieładu, nieobyczajności, które nie są sprawą potocznej przyzwoitości, jeno głęboko w rdzeń duszy narodowej sięgającej kultury. Ale wolno, ot tak ubocznie, bez pretensyi do wyczerpywania kwestyi, rzucić jedną myśl, która może złemu zasadniczo nie zaradza, ale niejednemu niesmakowi w przyszłości zapobiedz może.

Niechaj ci, którzy większych wycieczek pragną dokonać, a mają już w nich pewną, elementarną rutynę za sobą, odbędą dwie, trzy wycieczki sami. Niech się nie wymawiają, że samemu iść nudno i trudno, niech się nie zastaniają częściowo tylko słusznym argumentem, że samemu iść jest kosztownie, bo są wycieczki, zwłaszcza piesze, gdzie ten wzgląd nie odgrywa roli najmniejszej. Niech zdejmą z siebie ciężkie chomonto, które człowiek współczesny nosi na sobie tak długo, aż mu się zacznie wydawać wygodne, niech wyjdą na szerokie, słońcem zalane przestwory pól samopas, niech się ucą rozwiązywać samemu i szybko zagadnienia, które ludzie bardziej pierwotni trak-

tują jak igraszkę, ale wobec których dzisiejszy wychowaniec cywilizacji staje bezradny, jak dziecko. Niech się przyzwyczają do tego, że każdy błąd w rozumowaniu i każde osłabienie woli pociągają w nieuchronnym wyniku za sobą karę w postaci większej niewygody czy mniejszej przyjemności bodajby. Będąc sami, nie będą mieli sposobności do obstawania przy swoim zdaniu wprost przez upór, nauczą się natomiast daleko dokładniej mierzyć na oko nietylko trudności, które są do przełamania, ale pewne wymogi konieczności, którym niezbędnie zadośćuczynić potrzeba.

Oprócz tego, idąc samotnie, tem więcej będą mieli czasu do myślenia o tem, co w drodze napotyka, im mniej będzie sposobności do pustej niekiedy rozmowy. I tem prędzej może zacząć współżyć z jedynym swoim towarzyszem, niemym a takim wymownym, z naturą, koło której dotychczas chodzili z zasłoniętymi oczyma.

Być może z początku będzie im nieco nieswojo. Ale kiedy po pewnym czasie dojdą, trawestując Ibsena, do przekonania, że „najmocniejszy człowiek jest ten, który idzie sam“, będzie im bezspornie łatwiej chodzić w gromadzie. Przekonają się, że w tych zwłaszcza chwilach, kiedy silne przemęczenie fizyczne wprawia nerwy w stan niezdolności do drżenia i odbiera równowagę sądu, źle jest słuchać ich rozigranych kaprysów; że towarzysz w podróży, jest tylko jedną więcej komplikacją, którą trzeba brać tak, jak wszystkie inne dotychczas—spokojnie, trzeźwo i ze ścisłym obliczeniem za i przeciw każdego kroku.

Bezsprzecznie to nie będzie ostatnie słowo. Nie wykorzeni to dość rozpowszechnionego u nas zwyczaju nietyle nawet przewodzenia nad drugimi, co imponowania im—pierwszej przyczyny niesnasek, nie usunie tem mniej przyczyny ostatniej, szkaradnej wady, szczególnie naszą inteligencją cechującej, wstrętu do podlegania czyjemukolwiek przewodnictwu. Ale je napewno złagodzi. Łatwiej będzie od despotycznej arbitralności z jednej strony i od niesfornego warcholstwa ze strony przeciwnej zrobić krok ku wzajemnemu porozumieniu się, którego podstawą będą nieuniknione wymagania techniczne wycieczki i wyższy cel, który jej powinien przyświecać.

Ale o tym celu jeszcze oddzielnie słów kilka.

Boruta.



Z piśmiennictwa.

Ostatni zeszyt kwartalnika etnograficznego „Lud” zawiera dokończenie większych rozpraw: Bronisława Piłsudskiego—Szamanizm u tubylców na Sachalinie i Bronisława Gustowicza—Z życia szeklerów, oraz rozprawę Stanisława Schneidra—Bóg domowy. Z ludowych wierzeń u Słowackiego. Z drobniejszych notatek ciekawe są wyjaśnienia legend, przysłów i piosenek flisackich Bolesława Ślaskiego, z których dowiadujemy się, że piotrowiną nazywają flisacy odmęt czyli wir wodny, w którym woda płynie przy brzegu w górę rzeki, a czynią to na pamiątkę ś. Piotra, który miał Chrystusa uprosić, aby kazał tak wodzie płynąć, dając ulgę praerajującym ciężko flisakom. Nazwa ta, napotykana wśród ludu wodnego w okolicach Warszawy, ma zbliżony do siebie termin („woda św. Piotra” lub po prostu „św. Piotr”) wśród szyprow z Prus Królewskich, u Niemców zaś brzmi „Petrus wasser”. P. Helena Nuzikowska kreślił ujmującą sylwetkę gazdy-poety Andrzeja Sulei z Jaszczurówki pod Zakopanem, p. Wojciech Brzega podaje zebrane przez siebie przepyszne baśnie i opowiadanie tatrzańskie, z których kilka znamy w mistrzowskiej transkrypcji Tetmajera. W obszernej recenzji dr. Adolfa Chybińskiego o etnografii muzycznej na III międzynarodowym kongresie muzycznym w Wiedniu cytujemy interesujący fakt rozpowszechniającego się użycia fonografu przy zbieraniu melodii ludowych. Zwłaszcza ze względu na korzyści, jakie stąd może odnieść językoznawstwo, założono przy ces. Akademii wiedeńskiej Instytut fonograficzny, utrwalając zdjęcia na płytach, z których potem uzyskuje się negatywy miedziane. W jednej ze swych rezolucji kongres wzywa istniejące archiwa fonograficzne do porozumienia się dla ujednostajnienia metody szczególnie w sprawie instrumentów, służących do tego.

Zeszytu dopełniają Soboty—p. Sz. Matusiaka, kwestyonaryusz ginekologiczny ludowy i sprawozdania z dziedziny nowości na polu etnografii polskiej i obcej.

t.

Opuścić niedawno prasę drugi zeszyt *Kwartalnika Litewskiego*, wydawnictwa, poświęconego zabytkom przeszłości, dziejom krajoznawstwa i ludoznawstwa Litwy, Białorusi i Inflant, a wychodzącego od N. R. w Petersburgu pod redakcją p. Jana Obsta. Wymieniamy poniżej tytuły zamieszczonych w tym zeszycie prac, poświęconych specjalnie krajoznawstwu: „Zamek w Mirze” przez Jana Bułhaka, „Z dziejów starostwa Maryenhanskiego” p. G. Manteuffla, „Niektóre wierzenia, przesady i zabobony ludu naszego” p. Wand. Szukiewicz, „Zabytki przedhistoryczne w gub. Kowieńskiej” p. M. Makarenkę, oraz „Wiadomość o grobie, pomniku i niektórych szczątkach Bekieszy” p. L. Zasztowta. Najcenniejszą jednak zdobyczą redakcji *Kwartalnika* są niezawodnie „Wspomnienia o Świsłoczy, Dereczynie i Rożanie” Leona Potockiego, których ciąg pierwszy z przedmową p. M. Federowskiego zamieszczony został w dodatku do niniejszego zeszytu. W barwnym opowiadaniu opracowuje tu zmarły już dawno pamiętnikarz obraz życia społecznego w kilku zakątkach litewskich w pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia. Istnia-

ły tam wówczas wyborne szkoły, świetne rezydencje, —dziś pozostały tylko ruiny i głucha pustka. Obecny zeszyt *Kwartalnika*, tak samo, jak i poprzedni, ilustrowany jest kilkoma widokami miejscowości i portretami wybitnych osób.

oooooooooooo

Baszta w Łucku.

O znanej baszcie zamku łuckiego pisze w „Dzienniku Kijowskim” p. A. W. K. rzeczy istotnie niezwykłe.

„Mało komu z mieszkańców Łucka wiadomo, iż monumentalny zabytek przeszłości, wspaniała baszta wjazdowa, ongi do potężnej warowni Lubarta wiodąca, przeznaczoną już była na rozbiórkę, i że ją od zburzenia i ostatecznej zagłady uchronił nie kto inny, jeno b. generał-gubernator Bezak, ze srogiego obchodzenia z Polakami znany, a drapieżnym okiem na wszystko, co polską przypominało kulturę, patrzący.

Warto odtworzyć te szczegóły, jak je nam akty magistrackie, a więc źródło autentyczne, malują. Rzecz się tak miała:

W r. 1859 asesor kolegialny Leszczyński, delegowany do rewizji kasy powiatowej, która wówczas w budynku narożnym na dziedzińcu zamkowym się mieściła (dziś przebywa tam czatownia i straż ognio-wa), złożył raport, iż z powodu zmuszałości baszty, przez którą wjazd prowadził, dostęp do skarbcza ogromnie utrudniony i niebezpieczeństwem zagraża.

Wywołało to stos korespondencji i architekt budowlany Jodko, łącznie z architektem gub. Peską zakwalifikowali basztę do naprawy i konkurs związany z tą operacją robót obliczyli na 1535 rb.

Natychmiast urosła przewidziana trudność, skąd na restaurację wydobyć pieniędzy. Środki miejskie były wyczerpane. Dochody w r. 1860 wynosiły zaledwie 4018 rb. Tyleż rozchody. Kapitału zapasowego nie było, zaś dług miasta sięgał 11,074 rb. 54³/₄ kop.

Wobec tak opłakanego stanu skarbowości miejskiej, wydział budowlany rządu gubernialnego w Żytomierzu zwrócił się do głównego zarządu komunikacji i gmachów publicznych o wyasygnowanie odpowiedniej kwoty.

Sprawę, celem dalszego rozstrzygnięcia, przekazano departamentowi dzieł sztuki, który nie kontentując się zapadłymi w tej mierze orzeczeniami niższych instancji, de noviter zażądał opinii rządu gubernialnego.

I znowu posypały się delegacje gwoli powtórnych oględzin zagrożonej baszty.

W sierpniu 1862 r. asystent budowniczy p. Pomla-nowski składa raport, iż basztę bezwarunkowo odrestaurować należy, gdyż prowadził przez nią dojazd do kasy powiatowej i do komendy inwalidów, i że projektowanych pierwotnie 1535 rb. zgoła nie wystarczy.

Wówczas po raz pierwszy zrodziła się myśl barbarzyńska o zburzeniu baszty, i rząd gubernialny w listopadzie 1862 r. wystąpił z przedstawieniem do departa-

mentu dzieł sztuki, iż baszta, „jako zabytek starożytności” dłużej egzystować nie może, i że ją na rozbiórkę („słom”) sprzedać wypada.

Kwestya oparła się o Monarchę, i 14 stycznia 1863 r. główno-zarządzający komunikacyami i gmachami publicznymi zawiadomił rząd gubernialny o zapadłem Najwyższem zezwoleniu (daty nie przytoczono) na sprzedaż baszty drogą publicznego przetargu.

Zakrzętnięto się około licytacji, i los baszty, która od XIV w. dumnie nad całą panowała okolicą, zdawał się być nieodwołalnie zdecydowany.

Atoll l'apetit vient en mangeant, i ówczesnemu „sprawnikowi” Mikołajowi Dwernickiemu zachciało się dokonać dzieła iście Herostratesowego. Wy stosował więc do gubernatora komunikat poufny, iż najlepiej byłoby cały zamek zburzyć, otrzymane zaś tą drogą rumowiska użyć na reparację bruków drewnianych, które skutkiem częstego przechodzenia wojsk ogromnie ucierpiałły.

Gubernator, wytworny arystokrata, nie chciał odrazu przyłożyć ręki do barbarzyńskiego czynu i udzielił odpowiedzi wymijającej, iż o ile licytacje do skutku nie dojdą, zapędem sprawnika stać się może zadość.

Przystąpiono więc do licytacji i 4-go września 1864 r. basztę nabył za 18 rb. 25 kop. Jankiel Wajnsztek, który jednocześnie za kawał muru z lewej strony, długości 10 sążni, również przeznaczonego na rozbiórkę, zapłacił rb. 7.

Jak to się zwykle dzieje, między żydami rozpoczęły się intrygi, ku czemu tanie kupno dostarczyło pretekstu.

Polecały do gubernatora „donosy”. Jednocześnie przeciwko rozbiórcze zaprotestował Jan Wiktoryn Dobrowolski, właściciel kamienicy wewnątrz zamku, na zasadzie konsensu starosty łuckiego, ks. Czartoryskiego z 2 stycznia 1794 r., a pospółu z Dobrowolskim 11 sąsiednich właścicieli, którym zniszczenie baszty również groziło zniszczeniem.

Protest ten jednak, wobec Najwyższego rozkazu, pozostałby głosem wołającego na puszczy, gdyby nie wzięta generał-gubernatora w październiku 1864 r., który wygłosił opinię, iż zamek, jako pomnik starożytności, „bezw warunkowo zachować należy, zaś co do baszty i ściany, przeznaczonych na rozbiórkę, godzi się je zakonserwować kosztem dobrowolnych ofiar miejscowych mieszkańców.”

Ten sam „sprawnik” Dwernicki, który inicjował zburzenie całego zamku, podjął starania o pozwolenie na zbieranie składek.

Zabiegi te wszakże nie zyskały aprobaty gen.-gubernatora Anniekowa 2-go, który odezwał 29 listopada 1864 r. Nr. 7992 do wojennego gubernatora w Żytomierzu, wykonanie Najwyższego rozkazu zalecił z zabezpieczeniem praw osób trzecich, których budynki przy rozbiórcze ucierpiećby mogły.

Nad basztą zawisł miecz Damoklesa, zdawało się, dni jej już były policzone.

Aliści, w końcu września 1865 r. do Łucka zawiłał generał-gubernator Bezak. Sprawa baszty wpłynęła da capo, i skoro niektórzy z mieszkańców wyrazili życzenie podtrzymania jej drogą dobrowolnych składek, p. Bezak polecił sztabskapitanowi Ertlowi zawarcie

z mieszkańcami formalnej w tym względzie umowy. Do tego jednak nie doszło i w maju 1866 r., snąc pod wpływem innego nastroju, filistrzy tutejsi wystawili sobie testimonium paupertatis, sporządzając uchwałę odmowną, mocą której proponowanych składek się wyrzekli.

Rozjąrzyło to Bezaka. Kazał jeszcze raz dokonać oględzin i na zasadzie protokołu inżyniera-kapitana Polanowskiego, który zaopiniował, iż „burzenie takiego starożytnego pomnika architektury uważa za grzech i techniczną pomyłkę”, wydał pod datą 12 lipca 1866 r. reskrypt, w którym na podstawie 181 i 183 art. XII tomu, części I, ustawy budowlanej pozwala rozbiórkę baszty skasować i poleca „potrzebne reparacye sumptem kasy miejskiej dokonać”.

Tym sposobem zamek i basztę ocalono. Stoi ona dotąd niewzruszenie i niezachwianie, aczkolwiek we wrześniu 1890 r. częściowej nad basztą dopuszczono się wiewisekcyi. Ręka wandalą (był nim dawny burmistrz Anfiłow) zburzyła koronę—charakterystyczne ząbienia, które basztę wieńczyły.

W każdym bądź razie zarówno baszta, jak i cały zamek wymagają gruntownej restauracyi, i reskrypt Bezaka otwiera długi, dotąd niezamknięty okres usiłowań o zdobycie niezbędnych ku temu funduszów.

Usiłowania te liczne przechodziły fazy, aż nareszcie w hierarchii monumentów zamek obdarzono godnością, uznano go bowiem za pomnik „ogólno-państwowego znaczenia”, i na zasadzie Najwyższej zatwierdzonego zdania komitetu ministrów postanowiono wystąpić o asygnowanie odpowiedniej sumy.

Obecnie inżynier z Kijowa, p. Karol Iwanicki, sporządził kosztorys na 15,759 rb., który magistrat przedstawił gubernatorowi, a który w porządku prawodawczym ma być zatwierdzony”.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

† W gmachu gminy starozakonnych w Warszawie przy ul. Grzybowskiej n. 26 otwarto niedawno Muzeum Bersohnowskie, zawierające obfite materyały do dziejów kultury żydów w Polsce. Znajdują się tam, jak informuje „Izraelita”: zbiory rękopisów na pergaminie z XVI-go i XVII-go wieku, między innymi mało znany, pochodzący z Włoch, „Dyalog satyra przeciw rabinom i kaznodziejom”, bogate okazy inicjałów i winiet malowanych, artystycznie oprawne egzemplarze Biblii, Pięcioksięgu, oraz Psalmów Dawida, rozprawę hebrajską o Arystotelesie, napisaną w r. 1693 we Frankfurcie nad Odrą, oraz wiele innych. Ze źródeł wyłącznie polskich mamy tu „Zwierciadło Korony Polskiej, wystawione w r. 1618 na sejm walny”, nekrolog Lelewela, wzywający do odprawiania we wszystkich bóżnicach kraju nabożeństw za jego duszę, autograf Staszica, mianowicie przedstawienie Abrahama Sterna na członka Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie, dalej „Ojca Zadżumionych” Słowackiego w przekładzie na język hebrajski, wreszcie rozmaite dokumenty, odnoszące się do historyi Żydów w Polsce. Księgozbiór, liczący przeszło 2,000 tomów, obejmuje dzieła treści judaistycznej, oraz traktujące o sprawie żydowskiej. Muzeum obfituje też w obrazy

na tematy żydowskie, w wizerunki starych bóżnic oraz w portrety wybitnych działaczy żydowskich. Ponadto znajduje się w niem kolekcya bogato ozdobionych i artystycznie wykończonych futerałów i wskaźników do rodałów, cennych opraw, naczyń świętych, dzbanów, miednic, rostruchanów, kinkietów, haftów, lamp, talerzy, płaskorzeźb, sygnetów, obrączek, pieczęci, medalów, amuletów i monet.

+ Warszawski oddział Banku włościańskiego zawarł świeżo umowę rejentalną na kupno majątku, Rozwozin od p. Blassa. Majątek ten położony jest w gub. płockiej, w pow. mławskim i po części sierpskim, nad granicą pruską i obejmuje 8,200 morgów. Oprócz gruntów ornych, znaczną przestrzeń majątku zajmują lasy; jest też gorzelnia, jedna z największych w Królestwie Polskiem. Wogóle całe gospodarstwo znajduje się w porządku wzorowym i Bank, oprócz ziemi, przejmuje także cały urodzaj tegoroczny, jako też inwentarz żywy i martwy. Rozwozin nabyto za 920,000 rubli.

Po nabyciu Rozwozina, warszawski oddział Banku włościańskiego, jak donosi „Warsz. Dniwn.“, rozporządza ogółem 16,000 morgów gruntu, nabytych w r. b. za sumę przeszło 1,400,000 rb. Nabyte przez Bank majątki połączone są w gub. płockiej i suwalskiej.

+ W pismach codziennych spotykamy następujące wiadomości o nowych odkryciach górniczych na terenie Królestwa Polskiego:

Mieszkańcy Dąbrowy pp.: Karol Płodowski i Henryk Koralewski odkryli na gruntach Maryanny Majewskiej i Julianny Nagłej, we wsi Piekło, pokład węgla na głębokości 59 sążni.

Dyrektor Gustaw Nordman, odkrył na gruncie Teofila Przybylskiego we wsi Gołuchowicach, pokład węgla brunatnych na głębokości $4\frac{1}{2}$ metra w dwóch miejscach i w trzecim na głębokości $2\frac{1}{2}$ sążni.

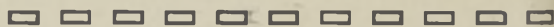
Tenże p. Gustaw Nordman odkrył na gruntach Marcina Majewskiego, we wsi Trzebieślavicach, w dwu miejscach galman, kruszec ołowiu i rudę.

+ W majątku własnym, Mizoczu na Wołyniu, zmarł w d. 31 z. m. w wieku lat 76 ś. p. Dunin-Karwicki, zasłużony badacz przeszłości swojej prowincyi. Obok licznych wspomnień i gawęd z przeszłości wydał on między innymi: „Opowiadania historyczne z dziejów okolic Stuczy i jej dopływów“ oraz podobną książkę o Horyniu.

+ Budowa kolei wązkotorowej ze Skwiry do Popielni na Ukrainie jest już na ukończeniu. Ruch na kolejce rozpocznie się w październiku r. b., przyczem odrazu będą uruchomione dwie pary pociągów osobowych. Linia skwirska długości 34 wiorst posiada następujące stacje: Popielnia, Pawołocz, Stoków (przystanek), Jerczyki i Skwira. W przyszłości wązkotorówka ma być przedłużona o 45 wiorst do stacji Białej cerkwi na kolei Fastowskiej.



+ Majątek Łabiszynek pod Kiszkowem, obszaru przeszło 3000 morgów, jeden z najpiękniejszych majątków w pow. gnieźnieńskim, został rozparcelowany i obsadzony kolonistami z Westfalii, Nadrenii i Pomorza. Łącznie z Łabiszynkiem rozparcelowała kolonizacya w powiecie gnieźnieńskim dotychczas 80,000 morgów, czyli przeszło jedną trzecią część całego powiatu, powiat gnieźnieński obejmuje bowiem ogółem 56,000 hektarów czyli 224,000 morgów.



Od Redakcyi.

Redaktor Kaz. Kulwieć oraz kierownik artystyczny Mik. Wisznicki powrócili z wyczasów letnich.



OD ADMINISTRACYI.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na kwartał IV-ty.

TREŚĆ: *Zygmunt Gloger* — „Grody Piastowskie“ (z 3 ilustr.) (c. d.); *Dr. Ludomira Biegańska* — „Nafit i wosk ziemny w Gallicyi“; *Ig. Radliński* — „Z nad Atlantyku pod Alpy śladem ludzkiej pracy dziejowej“ (z 4 ilustr.) (c. d.); *Brama w Bytomiu* (rys.); *St. Th.* — „Sven Hedin w Tybecie“ (z 1 ilustr.) (c. d.); *Boruta* — Gawędy krajoznawcze XVII. — Z piśmiennictwa. — Kronika Krajoznawcza. — Od Redakcyi. — Od Administracyi.

Winięty tytułową i ozdoby w tekście rysował *Mikołaj Wisznicki* — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i 8-ki — Składał i tamże *Józef Miałan*. — Odbijał na maszynie *Waleryan Szlicht*. — Klizea wykonano w zakładzie *B. Wierszbińskiego* i 8-ki. — Papier krajowy z fabryki *A. Moesa* w Piliicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć.**